

kresowiak galicyjski

5**1991****W numerze:**

- Chciałam zobaczyć Sybir
- Ludzie nie chcą rozmawiać
(w ZMB Lubaczów)
- Ziemia Horyniecka zaprasza
- Sport
- Krzyżówka

Cieszanów

Horyniec

Lubaczów

Narol

Oleszyce

Stary Dzików

Wielkie Oczy

Nr 5 22.XII.1991r.

Lokalny dwutygodnik społeczny

Cena 2000 zł



*Z okazji
Świąt i Nowego Roku
zadowolenia i radości
w życiu osobistym
i rodzinnym,
dużo dobroci od ludzi —
naszym Czytelnikom
i Sympatykom*

życzy Redakcja

CIESZANOWA SNY O POTĘDZE (część I)

Mieścino mych lat dziecińczych, nie mogę Ciebie odnaleźć. Błądzą Twoimi ulicami i nie znajdują tak bardzo znajomych mi kiedyś widoków i miejsc. Nie ma już brukowanych ulic, błotnistego rynku obramowanego łańcuchem wypalonych kamienic znad których widać było las na horyzoncie. W tym wyniszczonym i sponiewieranym wojną miasteczku zwęglone kikuty kominów długo godziły w błękitne niebo a grzywy chwastów, zamiast płotów, odgradzały wypalone domostwa.

Jak na wsi. Stodoły i obory, żurawie przy studniach, stada kur i gęsi na podwórzach. Jeszcze dziś słyszę z tamtych lat stukot podkutych żelazem kopyt końskich o bruk i tarabanienie furmanek. I widzę, pędzone całą szerokością jezdnii w tumanach kurzu, stado krów na pastwisko.

Lagodny smutek wspomnień. Witam mnie tu własne dzieciństwo. Każda pora roku była tu osobiwa i miała swój własny niepowtarzalny koloryt. Zima i śnieżne podwórza pieszczotliwie zaglądające przez okna. Zarysy ulic poprzecinane płozami sań, białosc spęczniałych od śniegu dachów domów, to zbliżające się, to oddalające odgłosy dzwonek u przejeżdżających sań. Wiosna przechodząca w lato. Pierwsze czerwcowe kąpiele leniwie toczącej swe źródłane wody Bruśnience. Łąki o poranku i sznur kosiarzy kładący pokosem zroszoną trawę. Pobliski las pełen jagód, poziomek i rojny od ludzi z tego miasteczka. Ogniska na polach, gdzie piekły się ziemniaki i dzikie gęsi ciągnące długim kluczem na południe. Warkliwy, niczym bicie w bęben, odgłos cepów zapadających w ciszę wieczorną. Sterty świerzej, pachnącej, słomy na podwórzach. Miasto tonące w długich jesienno-zimowych ciemnościach, którego oświetlenie nocą brał tylko na siebie księżyc.

Jakież bogactwo zdarzeń, postaci, obrazków. Kawalerka w wykrochmalonych koszulach, dziewczęta w nylonowych sukienkach, babie w długich spódnicach z Chotyłubia, Dachnowa, Lublińca, Kowalówki i Folwarków piechotą, na rowerach, furmankach zdążający na niedzielne nabożeństwo. Jaki gwar przed kościołem, jaka rewia

mody, okazja do załatwienia interesów, nawiązywania nowych znajomości. To tutaj niejeden chłopak ujrzał po raz pierwszy dziewczynę, która później zostawała partnerką na całe życie. Raz jeszcze wraca wszystko. Złota cisza przemijania, gwiazdy w kałużach na gościńcu, wszystko jak zaczarowane, gdaczące kury na rynku, pranie rozwieszone na sznurkach, ludzie wtuleni głęboko w siedzenia wozów.

Trudno się nie poddać rozczuleniu i melancholii wspominając cygański tabor, który pod pobliskim lasem na wiele dni rozbił obozowisko. Kolorowe wozy, barwne stroje, a w jeden wieczór ognisko przy którym tańce, śpiewy i grana przez cygański zespół melodia „Zagraj mi czarny cyganie”. Jakże widzę, jakże czuję jeszcze ten bajeczny, niezwykle wieczór, który przyprawił me serce w drzenie.

Albo „kołchoznik”, na rynku z którego w deszcz i pogodę, zimą i latem, za dnia i aż do późnych godzin wieczornych, nieprzerwanym pasmem płynęły wieści oraz szlagiery tamtych lat: „Wiśniowy sad”, „Na granicy jest strażnica”. Smutek ostatniego dnia lata i zapamiętany sierpniowy wieczór. Gromada chłopaków z Cieszanowa na rynku donośnym rzewnym śpiewem „Palomy” żegnała wakacje i miasteczko, a niektórzy z nich to nawet na zawsze.

Reportarka „Nowin Rzeszowskich” Krystyna Świerczewska, która trafiła do Cieszanowa napisze 20 lat po wojnie: „Wszędzie jest cisza nabrzmiała rozkwitaniem, w którą cienką czerwoną nogą niebacznie wdeptują bociany... cisza zaprawiona smutkiem, obiecująca może przyszłą obfitość, ale teraz niespokojna przypomnieniem poczerńiałego świątka, co rozpostarł ramiona u wylotu dróg, zagradzając dostęp do niecki płaskiej, gdzie hulały wojny nieludzkie”.

Nagły przypływ nostalgii. Nie ma już tamtego Cieszanowa. Opustoszała rzeka pozbawiona malowniczych zakoli, wierzb, olch i czystej źródlanej wody. Zarosły w lesie ścieżki, którymi kiedyś spacerowali zakochani, zamilkli na rynku głośnie. Odeszły też w zmierzch barwne, renesansowe osobowości tego miasta. Nie ma już o arystokratycznym wyglądzie Edwarda Brzyskiego, znanego z wyjątkowej życzliwości mieszkańcom tego miasta, który jako kierownik swojego upaństwowionego młyna przez kilkadziesiąt lat, nieprzerwanie zaopatrywał

cd. na str. 3

KRONIKA

KARTA PRAW RODZINY DLA PARAFIAN ARCHIDIECEZJI LWOWSKIEJ

Stolica apostolska nadała 12 rodzinom wydelegowanym przez parafie polskiej części Archidiecezji Lwowskiej „Kartę Praw Rodziny”. Aktu wręczenia w czasie podniosłej uroczystości zorganizowanej 1. XII br. dokonał ks. prałat Zygmunt Zuchowski, administrator apostolski w Lubaczowie.

GAZ W DOMACH MIESZKAŃCÓW CIESZANOWA I NOWEGO SIOŁA

Rozpoczęta w 1987 roku gazyfikacja gminy Cieszanów jest już na ukończeniu. Aktualnie Cieszanów i Nowe Sióło już gazem dysponują. Zawiązały się już społeczne komitety budowy gazociągu w Niemstowie, Lublińcu Nowym i Dachnowie. Warto zaapelować również do mieszkańców innych miejscowości aby przystępowali do organizowania analogicznych komitetów. A jakie korzyści z tej inwestycji otrzymają wystarczy zapytać dotychczasowych użytkowników gazu w Cieszanowie i Nowym Siółu.

MIKOŁAJKI '91 W LUBACZOWIE

W czwartek 5 grudnia w Domu Kultury w Lubaczowie odbyły się Mikołajki 91. Wręczenie prezentów poprzedził spektakl w wykonaniu miejscowego zespołu „Arka Lwowska” pod kierunkiem księdza proboszcza Józefa Dudka. Brawa dzieci i rodziców świadczyły, że młodzi aktorzy spisali się doskonale.

Na tę wspólną zabawę zostały zaproszone dzieci specjalnej troski z ośrodka w Wielkich Oczach prowadzonego przez Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia. Po spektaklu frajda dla wszystkich dzieci — rozdawanie prezentów. Za zorganizowanie imprezy należą się słowa uznania Witoldowi Kopie i ks. Józefowi Dudkowi.

J. Borysowicz

DOM POMOCY SPOŁECZNEJ W PŁOMIENIACH

W nocy z 7 na 8 grudnia br. w płomieniach stanął Dom Pomocy Społecznej w Lubaczowie, prowadzony przez Zgromadzenie Sióstr Albertynek przy parafii św. Stanisława. Bezpośrednią przyczyną pożaru było zapalenie się bielizny suszonej na piecu kaflowym. Dzięki natychmiastowej i sprawnej akcji straży pożarnej nikt nie odniósł obrażeń. Jednakże straty materialne wynoszą około 10 milionów zł.

DRODZY CZYTELNICY!

To już piąty numer Kresowiaka Galicyjskiego trafia do rąk naszych Czytelników. Jest okazja do refleksji, do podsumowania najtrudniejszego odcinka przebytej drogi. Świadomie piszemy najtrudniejszego, gdyż w chwili startu brakowało nam doświadczenia, współpracowników i niezbędnego w takim okresie wsparcia społecznego. Z tych też względów wydanie pierwszych numerów było dla nas drogą krzyżową, pełnym napięcia oczekiwaniem, czy się uda, czy Kresowiak ukaże się na czas, czy zaakceptują nas Czytelnicy.

Pięć numerów Kresowiaka to mało i dużo równocześnie. Byłby to żaden wyczyn dla profesjonalistów, dla gazety dysponującej płatnymi pracownikami, siecią korespondentów. Jest to jednak dużo w sytuacji, gdy się wydaje pismo sumptem społecznym. Nikt bowiem do tej pory za wydrukowane teksty, za redagowanie i kolportaż nie wziął ani złotówki. Mamy więc prawo mówić, że stanowimy stosunkowo rzadki dzisiaj przykład autentycznego społecznikostwa.

Mimo społecznego zaangażowania zespołu, wydawanie Kresowiaka jest przedsięwzięciem bardzo kosztownym, a dochód osiągany z jego sprzedaży nie pokrywa nawet kosztów druku i papieru. Z tych też względów ukazywanie się pisma byłoby mało prawdopodobne, gdyby nie grono entuzjastów, światłych obywateli, którzy udzielili nam finansowego wsparcia. Z satysfakcją wymieniamy ich nazwiska: **Władysław Buczek, Franciszek Brzyski, Edward Dziadula, Jan Pietruch, Adam Gajewski**. Ludzie ci zainwestowali w nasze pismo nie z myślą o zyskach, materialnych profitach ale z potrzeby serca, z wiary, że będziemy służyć i pomagać ludziom.

Pismo żyje, zdobyło sobie prawo obywatelskie, zostało zaakceptowane przez Czytelników tak w mieście jak i na wsi. W wielu środowiskach mamy już stałą publiczność, Czytelników którzy kompletują wydane numery. Jest też praktyka podawania sobie Kresowiaka z rąk do rąk, z domu do domu. Coraz więcej też otrzymujemy sygnałów, że Kresowiak wysyłany jest do krewnych rozsianszych po kraju i świecie. Dla nich pismo jest światem ujrzanym z odłali, barwną kolorową widokówką z kraju ich lat dziecinnych.

Godny podkreślenia jest fakt, że przybywa nam sympatyków, ludzi którzy deklarują pomoc, którzy chcą z nami przeżywać kłopoty, cieszyć się z naszych osiągnięć. Przy tej okazji pragniemy serdecznie podziękować kolporterom i sprzedawcom naszego pisma. Dziękujemy też **Wandzie Gnap** autorce tytułu „Kresowiak Galicyjski”.

Pozostaliśmy wierni marsztrucie wytyczonej na początku naszej drogi. Nadal przede wszystkim sprawy i ludzie z tych stron trafiają na łamy naszego pisma. Wciąż też mamy ambicje być lustrzanym odbiciem życia, roznośicielem dobrych i złych nowin. Nie znaczy to oczywiście, że nie dokonujemy korekty, nie wyciągamy wniosków z popełnianych błędów.

Mamy świadomość, że pismu wciąż daleko do doskonałości.

Martwi nas fakt, że Kresowiak budzi wciąż mały rezonans społeczny. Zakładaliśmy, że będzie on targać sumieniami, że Czytelnicy w listach będą nas chwalić lub potępiać. Tymczasem listów otrzymujemy wciąż niewiele, a te które przychodzą, podpisywane są najczęściej pseudonimami. Wciąż też za mała jest sieć naszych korespondentów. W konsekwencji brakuje nam wieści z poszczególnych gmin i miejscowości. W tym miejscu jeszcze raz chcemy zaapelować o współpracę z nami, o nadsyłanie listów, korespondencji, uwag o piśmie.

Kresowiak Galicyjski ma swoich wyznawców ale i nieprzejednanych wrogów. Nadal niestety daje o sobie znać ukształtowany w minionym półwieczu stereotyp i moda na przylepianie etykietek. Odważyłeś się skrytykować urzędnika, krytykujesz więc władzę, a to już zasługuje na potępienie. Na epitetach jednak się nie kończy. Autorom Kresowiaka maksymalnie utrudnia się dostęp do informacji, odmawia się im wręcz prawa do publicznego zabierania głosu. Mało tego piszącym, oczywiście w zakamuflowany sposób, daje się do zrozumienia, że mogą ponieść poważne konsekwencje, a nawet stracić pracę. Trzeba więc nie lada siły woli aby nie być podatnym na te ataki.

Czy więc starczy nam zapалу, siły na odpieranie ciosów? I jak długo wysiłkiem społecznym, przy wsparciu finansowym sponsorów, można wydawać lokalne pismo? Niewykluczamy, że będziemy musieli zamilknąć. Ale nawet gdyby się to stało, mamy prawo mówić, że odnieśliśmy sukces i służyliśmy słusznej sprawie. Drukując pamiętnik sybiraczki, pisząc o wzorowym rolniku, słynnym lekarzu, kombatancie, wzbogaciliśmy wiedzę ludzi o tym terenie. Mamy też nadzieję, że u niejednego Czytelnika umocniliśmy lokalny patriotyzm i dumę ze stron rodzinnych.

Mamy jednak nadzieję, że również w nowym roku będziemy regularnie, chociażby tylko raz w miesiącu, gościć w sercach i myślach naszych Czytelników. Ze swej strony możemy zapewnić, że dołożymy wszelkich możliwych starań, aby pismo było coraz lepsze i ciekawsze.

Marian Ważny

CIESZANOWA SNY O POTĘDZE

cd. ze str. 1

ludność w mąkę. Odszedł też Kazimierz Maciejewicz, przedwojenny kapitan w Wojsku Polskim, później w AK, odważny, bezkompromisowy, człowiek czynu. Z jego inicjatywy stanął na rynku pomnik ku czci rozstrzelanych przez Niemców zakładników. Nie ma też Jadwigi Szajkowskiej, poetki, nauczycielki, która w licznych korespondencjach do gazet rozstrzeliwała Cieszanów. Nie ma wśród żywych proboszcza Józefa Kłosa. Kilka pokoleń parafian pamięta go z nauki religii, kazań i nabożeństw i jako gospodarza, dla którego stała troską było odnowienie kościoła.

Stare wierzyby stojące jeszcze gdzieśgdzieniegdzie wzdłuż szosy wiodącej do Cieszanowa wyglądają teraz sieroco i smutno. Tylko wieża kościelna jak dawniej, góruje nad miastem i to samo co kiedyś donośne bicie dzwonu wzywa wiernych na modlitwę.

Cieszanów 1991 roku jest już zupełnie innym miastem. Niemal cała epoka dzielić go zaczyna od lat powojennych. Tam gdzie kiedyś były wypalone mury cieszą oko bloki mieszkalne harmonijnie wkomponowane w otoczenie. A na parterze nieprzerwane pasmo sklepów. Nie do poznania jest rynek pełen alei i kwiatników. Stojące jeszcze gdzieśgdzieniegdzie małe drewniane domki wyglądają smutno i żałośnie w cieniu piętrowych białych kamienic. A z podwórzy znikły studzienne żurawie, zastąpione wodą w krnach. Na szczerym kiedyś polu stanęło osiedle mieszkaniowe.

Ale mimo olbrzymiego cywilizacyjnego skoku i nadrobieniu kilkudziesięciu lat zaległości, życie w mieście nie jest sielankowe. Buszujący w kraju kryzys z całą brutalnością trafił w te strony. Padły jedyne funkcjonujące w tym mieście zakłady pracy. Wzmaga to apatie i rozgorzyczenie ludzi. A na rezultaty przedsięwzięć ze strony władz gminnych, stawiających sobie za cel aktywizację miasteczka, trzeba jeszcze poczekać.

Realia te rodzą gorączkowe dyskusje i poszukiwania źródeł kryzysu. Przy tej okazji obwiniani są nawet ci, którzy w dziejach miasta dokonali przełomu. Nie brak też głosów, że nad miastem od wieków wisi jakieś okrutne fatum. W imię prawdy i odpowiedzialności przed kolejnymi pokoleniami spróbujmy zainicjować dyskurs o tym mieście, o źródłach jego sukcesów i klęsk. Spróbujmy na realia tego miasteczka popatrzeć chłodnym okiem, bez uprzedzeń i emocjonalnego zacietrzewienia. Powalczmy z mitami, a nawet z legendą. Oczywiście nie będzie to zabieg bezbolesny. Cieszanów to pieśń historii. Dokonania przodków, wspomnienia dawnej świetności miasta działają jak narkotyk, nawet na obecne pokolenie. Ale nie można iść naprzód z głową odwróconą do tyłu. Przed Cieszanowem jest wiele zasieków, a wszystkie one są zaminowane przeszłością. W przeszłości więc tej bliskiej jak też tej bardziej odległej tkwi moim zdaniem klucz do zrozumienia duszy tego miasta, źródeł jego sukcesów i klęsk. Swoją drogą należy przyznać, że rozkochanie Cieszanowian w przeszłości swego miasta jest w dużej mierze uzasadnione. Mało bowiem która miejscowość w naszym regionie może się poszczycić tak bogatą, obfitującą w patriotyczne zrywy przeszłością. To tutaj działał w 1863 roku jeden z największych w Galicji szpital dla rannych powstańców. W literaturze pamiętnikarskiej odnotowana została relacja pełnej poświęcenia pracy w tym szpitalu, w roli pielęgniarek cieszanowskich dziewcząt. A na miejscowym cmentarzu bez trudu znajdziemy zadbane groby powstańców.

Mieszkańcy miasta aktywnie angażowali się do walki o niepodległość kraju. Stąd Cieszanów ma swoich legionistów i hallerczyków. W czasie II wojny światowej działał tu silny ruch oporu. W formacjach AK znalazła się niemal cała młodzież miasteczka, a w Rudzie Różanieckiej stacjonował oddział z nich złożony. Również żołnierze stąd, znaleźli się niemal na wszystkich frontach II wojny światowej. Walczyli pod Monte Cassino i brali udział w szturmie na Berlin.

Ale za swój patriotyzm, aktywne zaangażowanie w walce z okupantem miasto płaci okrutną cenę. Światli obywatele z proboszczem Węgrzyniakiem trafiają i giną w obozach koncentracyjnych. Nagminnie były tu aresztowania, rozstrzeliwania i wywózki młodych na roboty do Niemiec. Wiosną 1944 roku ludność musi się ratować ucieczką za San do Rudy Różanieckiej przed zemstą ukraińskich nacjonalistów. Z ich rąk też Cieszanów zostaje spalony. Wówczas to po powrocie z uciekinierki wiele bezdomnych rodzin musiało opuścić miasto na zawsze. Wyemigrował też świat ducha. Znaczna bowiem część przedwojennej inteligencji poszła w rozsypek i rozjechała się po kraju. Wojna jak pługiem przeorała tu wszystkich. Okupacyjna przeszłość jest jeszcze do tej pory wypisana na wielu twarzach mieszkających tu ludzi.

cd. w następnym numerze

Poniższy artykuł jest przedrukem z pisma „Sztafeta” 31.X.1991 r. wychodzącego w Stalowej Woli. Zamieszczamy go z niewielkimi skrótami gdyż dotyczy napiętej sytuacji w ZMB w Lubaczowie.

LUDZIE NIE CHCĄ ROZMAWIAĆ

W pogodnie rozslonecznione jesienne przedpołudnie Lubaczów wygląda jak składanka trójwymiarowych pocztówek z renomowanego uzdrowiska. Czyściutko i schludnie, ludzie, którzy się donikąd nie śpieszą. Sklepy i sklepiki jak małe peweksy — olśniewają bogactwem wystaw i gustownymi dekoracjami. Wystawa zakładu fotograficznego w rynku ciasno wypełniona kopiowanymi na kodakowskim papierze zdjęciami z niedawnej wizyty Jana Pawła II. Dziewczęta noszą się tak samo krótko, jak wszędzie. Jedno co uderza, to obecność na ulicach i skwerkach sporej liczby młodych ludzi, którzy już na pewno nie są uczniami szkół średnich. Luz jak podczas wakacji. Na anemicznym minibazarze, o kilkadziesiąt kroków od kompleksu obiektów kościelnych, kilka samochodów z ukraińskimi rejestracjami. Można kupić także wódkę, austriackie prezerwatywy, trochę nijakich szmatek i różnych drobiazgów. Jak wszędzie. Tylko kupujących niewielu.

— Zakłady? Jakże tu jeszcze zakłady? Więcej tu likwidatorów niż dyrektorów — usiłuje dowcipkować ekspedientka w sklepie z zabawkami. — W „galanterii” likwidator, w pobliskim POM — to samo, tylko patrzeć, jak się pojawi w rozszarpi... W rozszarpi — to znaczy w Zakładzie Maszyn Budowlanych HSW, który w tym 10-tysięcznym miasteczku jest ostatnią wyspą nadziei na normalne życie. O Zakładzie mówi się trochę jakby w czasie przeszłym, jakby wszystko już było przesądzone...

★★★

Z pisma dyrektora ZMB do zarządów działających w zakładzie związków zawodowych wynika, że jest źle. 2 września dyr. Korzeła pisał: (...) istnieje konieczność obniżenia stanu zatrudnienia w ZMB — Lubaczów o 380 pracowników na zasadach określonych w ustawie z 28 grudnia 1989 r. Powód: zaprzestanie produkcji wyrobów do ładowarek i skrzyń U-35 w II półroczu, co spowodowało załamanie produkcji podstawowej i jej spadek o 80 procent, spadek zamówień na eksport do krajów byłej RWPG, brak środków na wynagrodzenia, zablokowanie konta bankowego zakładu, brak środków na spłacenie kooperantów i dostawców materiałów. 380 pracowników na 583 to — jakby nie liczyć — ponad 65 procent załogi.

W zakładzie życie toczy się na pozór normalnie. Na pozór. Gdzieśgdzieniegdzie kręcą się maszyny, kręcą się ludzie. Siłą rozpędu idzie robota przy jakiejś zapóźnionej serii części do skrzyń U-53 przy zmiennikach momentu do ładowarek o które dopytują się rozpoczynając doroczną kampanię cukrownie. Idzie robota przy jakichś elementach do urządzeń górniczych i przy kołnierzach do rurociągów, jakie produkowane są w systemie kooperacyjnym z Kuźnią Matrycową HSW. Nie widać tylko nikogo przy stanowiskach z oprzyrządowaniem do produkcji wsporników do elektrycznych pastuchów. Podobno to jest stan przejściowy.

★★★

Z pastuchami to było tak: w lipcu 1989 roku, bez specjalnego błogosławieństwa stalowowolskiego centrum, ZMB zawarł za pośrednictwem METRONEKSU kontrakt na dostawę 100 tysięcy wsporników do elektrycznego pastucha. Odbiorcą była firma Heck z RFN. Żadna niby nadzwyczajna wówczas robota: kawałek obróbnego pręta z wysokosprężystej stali z nadzianym na czubek pręta izolatorem. Ale — zawsze coś. W trakcie realizacji kontraktu firma Heck zwiększyła zamówienia do 300 tysięcy sztuk i jednocześnie podniosła, o 2 fenigi na sztuce, cenę. Ponadto złożyła zamówienie na dalszych 60 tysięcy wsporników w nieco innej wersji. Warunki kontraktu wcześniej zostały w zakładzie dobrze zbadane, przeliczono opłacalność produkcji, wyszło, że jest ona przyzwoita. Dyrektor zyskał przyzwolenie Rady Pracowniczej i związków zawodowych na podpisanie umowy. Niedługo później, kiedy robota się już rozpoczęła, w zakładzie podniósł się szum. Przewodniczący „Solidarności” Z. Sobieraj — długo analizował kalkulację kontraktu, aż wreszcie doszedł do wniosku, że nie jest to dla ZMB złoty interes. Mało tego, pan Sobieraj ogłosił, że realizacja kontraktu przyniesie zakładowi straty w wysokości co najmniej 1,2 mld złotych. W zakładzie zaczęto szeptać, że dyrektor musiał wziąć niezłą łapówkę, skoro taki kontrakt podpisał. Pojawiło się sformułowane przez pana Sobieraję żądanie wezwania ekipy NIK lub BR z Huty dla udowodnienia „afery”. Ekipa BR drobiazgowo „przekopała” kalkulację. Wyszło, że pan Sobieraj racji nie ma. Mimo to związkowy („S”) przedstawiciel w delegacji ZMB zawnioskował 21 października w METRONEKSIE o zerwanie kontraktu z odbiorcą z RFN. Ani Heck ani METRONEKS nie zgodziły się na to, METRONEKS aż do końca roku dobijał się o rozszerzenie kontraktu. Bezskutecznie. Niedługo później okazało się, że do Hecka zgłosił się konkurencyjny wobec ZMB oferent — firma „Unitar” z Katowic, której właścicielem jest niejaki pan Kossakowski. „Unitar” zaoferował cenę niższą o 1 feniga na sztuce w stosunku do ZMB. Heck podpisał z „Unitarem” 3-letnią umowę na produkcję miliona sztuk wsporników.

cd. na str. 4

cd. ze str. 3

Z pisma METRONEKSU z ZMB Lubaczów z 23 stycznia: **Można zaryzykować postawienie tezy, że produkcja nieopłacalna dla Wazszego zakładu jest dostatecznie opłacalna dla wytwórcy prywatnego.**

Na zebraniu ZMB ktoś rzucił w twarz Sobierajowi, że korzystny dla ZMB kontrakt podkradł zakładowi i podrzucił swojemu wujkowi z Katowic, który — tak się jakoś składa — jest właścicielem firmy „Unitar”. Pan Sobieraj miał się mocno zdenerwować. — To nie mój wujek tylko kuzyn.

★★★

„Unitar” z wywiązywaniem się z kontraktu, głównie z powodów jakościowych, miał niejakie problemy. METRONEX też tematu na półkę nie odłożył. Wynegocjował odnowienie kontraktu dla ZMB na 100 tysięcy sztuk, który już rozszerzono do 300 tysięcy na przyszły rok. Przyjechał Niemiec, wpłacił gotówką sporą kwotę tytułem zaliczki na zakup materiału. Chce mieć pewność, że znów go nikt nie wyślizga. Jest też zainteresowany zamówieniem kolejnych pozycji, ale za bardzo nie wie, z kim w zakładzie tak naprawdę powinien się liczyć. Dyrektor swoje, szef „Solidarności” — swoje...

★★★

Na wiosnę pan Sobieraj zgłosił wotum nieufności pod adresem Rady Pracowniczej, która ośmieliła mu się przeciwstawić. Pod wotum doliczono się 15 podpisów ludzi, którzy ... nie byli pracownikami ZMB. Po jakimś czasie dostarczono listę z innymi podpisanymi. Odkryło się referendum. Wyszło, że Rada ma poparcie załogi, a organizacja pana Sobieraja — nie.

11 kwietnia do pana Sobieraja skierowano pismo o następującej treści: **My, członkowie „Solidarności” przy Zakładzie Maszyn Budowlanych w Lubaczowie, rezygnujemy z dalszego członkostwa ww. Związku z uwagi na niewłaściwie prowadzoną politykę Przewodniczącego Związku, która naszym zdaniem doprowadzi do bankructwa naszego Zakładu Pracy. Rezygnacją naszą stwierdzamy własnoręcznym podpisem. Podpisów tych jest dokładnie pięćdziesiąt.**

★★★

Rozmowy na te tematy są trudne i dziwne. Każda zaczyna się od zastrzeżenia, że bez żadnych nazwisk i bez podawania nawet stanowiska pracy i jakichkolwiek danych identyfikacyjnych. Inaczej — nie ma rozmowy.

— Był taki jeden młody inżynier, mądry człowiek, który odważył się Sobierajowi powiedzieć coś innego niż ten chciał usłyszeć. Natychmiast przestał być wiceprzewodniczącym zarządu.

— Zarząd to sobie pan Sobieraj wymieniał już dwukrotnie. Jasne, że bez jakiegokolwiek zebrania. Po prostu wziął i rozpedził jedną grupę i zwołał sobie inną, za pomocą palca wskazującego porozdzielał funkcje i po zabawie. Nie, nie przypominam sobie, żeby się w zakładzie odbywały jakieś zebrania „Solidarności”. Wydał mi się, że gdyby takie zebranie się udało komukolwiek, wbrew panu Sobierajowi, zwołać, to by wyszło na jaw, ilu jest członków w związku. A wtedy to pan Sobieraj nie doliczyłby się wymaganych 150 członków, co jest warunkiem, aby on mógł być w zakładzie na etacie związkowym. Nie wierzę, że uzbierałaby się więcej setka ludzi...

— Ten pan jest w mieście pierwszoplanową postacią na arenie politycznej. Tak mu się wydaje. Przed wyborami w 89 roku miał taki ostry incydent na posterunku, potem były awantury z lekarzami i takie tam historie. Stał się prawie kombatantem. Księżda też mu się zdarzało potarosić, aż mu beret z głowy zleciał. Gliniarzowi w komisariacie pozrywał naramienniki. Z zakładu już raz był dyscyplinarnie zwolniony, wcześniej był zdjęty z brzydalisty za taki damsko-męski incydent po pijanemu, na terenie zakładu. Piaskarz z niego był może i dobry, ale teraz...

— Ja to sobie myślę tak: jeśli ktoś taki, z taką moralnością i z taką reputacją jest przewodniczącym związku zawodowego, jakby się ten związek nie nazywał, to jest to sprawa ludzi, którzy się na to godzą. A jeśli się nie godzą i masowo wypisują się ze związku zamiast próbować wpłynąć na zmianę sytuacji, to co tu jeszcze komentować? Ale jeśli ktoś taki jest ławnikiem w sądzie, to ja już nie wiem, co o tym wszystkim myśleć... Tak, byłem w „Solidarności”, do niedawna. Wyleczyłem się. Skutecznie.

★★★

Ludzie w zakładzie nie chcą i nie będą o tych sprawach rozmawiać. Lubaczów to jest małe miasteczko. Zakład to jest ich jedyna nadzieja na utrzymanie się na powierzchni. To ostatni zakład, w którym jest jeszcze praca. Fakt, że coraz nędziej opłacana, ale jednak jest. Nie chcą tego swojego nikłego poczucia bezpieczeństwa zburzyć niepotrzebnie wypowiedzianymi w obecności dziennikarza słowami, których potem mogliby żałować.

JERZY RESZCZYŃSKI

Chciałam zobaczyć Sybir

„Będąc dzieckiem często szukałam na mapie Sybiru. Marzyłam o tym aby go zobaczyć.”

Ciąg dalszy wspomnień pani Zofii Borysowicz z Cieszanowa-Czereśnie

Okazało się, że wśród przychodzących do nas byli donosiciele i prowokatorzy. Przy pierwszej lepszej okazji wszczynali rozmowy na różne polityczne tematy, w tym również o władzy radzieckiej, no i oczywiście o Stalinie, o którym rzecz jasna pochlebne opinie nie padały.

Okazało się, że spośród przychodzących do nas znalazły się trzy podłe kobiety, które doniosły do NKWD w Tarze o jednej z takich rozmów, oskarżając kilka osób, a między innymi jedną 18-letnią dziewczynę, której nazwiska już nie pamiętam, dwóch mężczyzn: Oszczepańskiego, Brudanowskiego i kilku innych. O tym, kto doniósł, dowiedzieliśmy się później na rozprawie sądowej. Otóż po owym doniesieniu przyjechało do nas NKWD, jak również do tych innych oskarżonych osób. W czasie przeprowadzonej u nas rewizji mieszkaniowej zabrano ileś tam zdjęć z Polski oraz zdjęcia ojca z pobytu w wojsku. Mimo, że niczego już więcej nie zakwestionowano NKWD-owcy zakuli ojca w kajdany i powieźli najpierw do Tary, a po jakimś czasie do Omska. Dziś pamiętam jeszcze jak mama chodziła do NKWD w Tarze dowiedzieć się coś o ojcu. Wracając pewnego dnia biegiem do domu powiadomiła mnie, że ojca wraz z innymi będą wywozić z Tary gdzieś dalej. Gdy ja i mama przybiegliśmy do Tary, pod NKWD, zastaliśmy samochód ciężarowy gotowy do odjazdu z załadowanymi Polakami, biednie i chłodno ubranymi. Naokoło samochodu stali uzbrojeni NKW-dziści, ubrani w ciepłe kożuchy.

Gdy mama wskazała mi tatę, podeszłam do samochodu i zwołałam: tatusiu! Wyciągnęliśmy ku sobie ręce na pożegnanie, lecz strażnik mnie tak mocno odepchnął, omal że nie upadłam. Znajdujących się w samochodzie „przestępców politycznych” odwieziono do Omska. Nie pamiętam dziś jak długo trwało śledztwo, lecz dla ojca i innych, z którymi był aresztowany, śledztwo to było gehenna, o czym dowiedziałam się od ojca w ojczystym kraju, do którego wrócił dopiero w październiku 1956 r.

Pobyt w areszcie w Tarze był niejako wstępem do właściwego śledztwa, które odbywało się w Omsku. Tam zamiast rozmów między aresztowanymi, z celi do celi dochodziły tylko krzyki i jęki. Tak przeprowadzano przesłuchania i dokumentowano fakty — dowody, by je przedłożyć „wysokiemu i sprawiedliwemu” sądowi.

Tenże sąd za tak „groźne przestępstwa” skazał: mojego tatusia — na osiem lat więzienia, pannę Zofię (18-latkę) na pięć lat więzienia, pozostałych mężczyzn z tej rozprawy — na dziesięć lat więzienia. Ja, najstarsza z rodzeństwa miałam wtedy 17 lat. Zadałam sobie nieraz pytanie — myśląc o tych wyrokach — co myślały i co czuły te kobiety denuncjatorki, które dowiedziały się o tych wyrokach? Czy odczuwały swój donos na swoich sumieniach?

Wspominając tamte czasy zawsze uspokajałam się taką myślą, że nie ma największego szczęścia i najdroższego mienia od dobrego imienia i czystego sumienia.

Po osadzeniu ojca w więzieniu nasze warunki życiowe znacznie się pogorszyły. Musiałam się bardziej zaopiekować młodszym rodzeństwem. Nieraz w nocy wstając szłam do kolejki by dostać kawałek chleba. Byliśmy zawsze głodni, bo przydzielali chleba i ziemniaków były tak małe, że tego głodu nie zaspokajały.

Jeden z młodszych moich braci bardzo często pytał się mamy, czy w Polsce kiedy do niej wrócimy, będziemy mieli chleba tyle ile będziemy chcieli? Mama odpowiadała, że w Polsce będzie nam lepiej, ale musimy wytrwać.

W Polsce mieliśmy bliskich. Zaczęliśmy pisać do nich listy. Jak po latach dowiedzieliśmy się, to do kraju doszedł tylko jeden nasz list, ale też i tylko jeden list otrzymaliśmy z Polski. Po otrzymaniu tego listu skakałam z radości, aż listonoszka nazwała mnie dziwaczką. List ten czytaliśmy wiele razy, treść znaliśmy na pamięć. Tęskno było za rodzinnym domem i ojczystym krajem — ziemią. W pogodne wieczory po pracy często wy-

chodziłam na podwórze i wpatrywałam się w ciemne — migocące niebo. Marzenia i fantazja moją tęsknotą za ojczyzną unosiły w te niezmierzone przestworza, gdzieś tam ona rozpościerała swoje widoki, krajobrazy, wielobarwne pola podzielone miedziami, ukazując pracujących na nich — jak mrówki ludziach.

Przychodziły mi na myśl i to bardzo często, słowa A. Mickiewicza, które pamiętałam z ławy szkolnej, ze zmienionym jednym słowem. Zamiast Litwy mawiałam:

„Polsko, Ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie
Ile Cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto Cię utracił.”

W Tarze, jak już wspomniałam żyło wielu zesłanych Polaków. Byli tam Polacy z Przemyśla, Białegostoku, Niemirowa i innych miejscowości. Od czasu zmiany sytuacji politycznej, stwarzającej jakąś tam możliwość powrotu do kraju, w Polakach rozbudziło się uczucie więzi narodowej. Mieliśmy właśnie takie uczucie, jakbyśmy należeli do jednej rodziny. Zaczęliśmy się częściej ze sobą spotykać i częściej wzajemnie odwiedzać. Chodziliśmy bardzo często wieczorami odwiedzać sąsiada Rosjanina, który miał głośnik radiowy, połączony siecią z radiowęzłem. Chodziliśmy do niego słuchać przede wszystkim komunikatów frontowych, w czasie nadawania których dowiadawaliśmy się, jakie większe miasta były wyzwalone i bardzo cieszyliśmy się z odniesionych zwycięstw. Ale jednocześnie ból serce ściszał, że tatuś z wieloma innymi przebywał w więzieniu. Żał i żył wyciskał po trójce rodzeństwa, które na zawsze spoczęło w dalekiej ziemi Sybiru, na tej nieludzkiej ziemi, choć należałoby powiedzieć ściślej, że ta daleka ziemia dała ochłodę i wieczny spokój umęczonym ciałom, które polskością oddychały. W ostatnim czasie dotarły do nas wieści o zbrodniach hitlerowskich dokonywanych w obozach zagłady Oświęcimiu, Majdanku i innych. Oglądaliśmy zdjęcia w książkach.

Wprawdzie w Związku Radzieckim nie budowano obozów śmierci typu Oświęcimia czy Majdanka, ale ludzie też przysłowiowo mówiąc — ginęli tam niewinnie jak muchy. Człowiek posiadał wartość dopóty, dopóki przedstawiał sobą wartość siły roboczej.

Myślałam sobie nieraz: na czym właściwie polegała wina takich prostych ludzi jak my, że nam władza radziecka stworzyła tak nędzny żywot? Co u nas i w nas było takiego niebezpiecznego, że trzeba było aż na Sybir i w tak okrutny sposób wywozić. Żyliśmy nadzieją, że Opatrzność zmieni nasz los i pozwoli nam wrócić do Polski. I stało się. Doczekaliśmy zakończenia wojny. Wśród Polaków panowała radość nie do opisanego. Wszyscy wszystkich powiadomiali o końcu wojny i o planach powrotu do Polski. Lecz powrót nie był taki prosty jakby to mogło się wydawać.

Wielu Polaków musiało być najpierw zwolnionych z nadzoru milicyjnego, a potem dopiero mogli oni myśleć o wyjeździe. Polacy, którzy byli osiedleni niezbyt daleko od stacji kolejowej w podróż do ojczystego kraju mogli wyruszać wcześniej, prędzej. Ci natomiast, którzy mieszkali daleko, musieli czekać wiosny następnego roku, kiedy rzeką zaczęły płynąć statki.

Czasu odjazdu, chociaż nam się już bardzo dłużył, i ja z resztą rodziny doczekałam się. Wracałam do kraju z sześciorgiem rodzeństwa. W ów dzień odjazdu przywieziono nas na przystań, a gdy wszystkich załadowano na statek, odpłynęliśmy do Omska, gdzie dowożono nas do pociągu. W czasie krótkiego pobytu w Omsku ja z mamą i rodzeństwem poszłam odwiedzić ojca, który wystarał u władz widzenie się z nami przed naszym odjazdem do Polski.

Spotkanie z ojcem było bardzo smutne i przygnębiające. Gdy znaleźliśmy się w pewnym pomieszczeniu zobaczyliśmy, jak strażnik więzienny przyprowadził ojca do dużej kraty, która nas, niestety rozdzielała. I spotkanie i pożegnanie było bardzo bolesne — bez słów. Zastąpiły je łzy i gorycz losu ścisłająca nam gardła. Usłyszeliśmy tylko dwa słowa: „Jedźcie z Bogiem”. Takie ostatnie spotkanie z tatą miało miejsce na obcej naszym sercom ziemi.

Dokończenie w następnym numerze

JAK SIĘ DAWNIEJ OPLATKI WYPIEKAŁO

Zamieszczamy ciekawą korespondencję Eugeniusza Szajkowskiego z Lubaczowa, którego ojciec w latach 1894—1934 był organistą w Cieszanowie i równocześnie zajmował się wypiekami opłatków.

Z tych też względów poniższy materiał, jest cennym dokumentem zawierającym opis dawnych sposobów wykonywania opłatków. Dlatego też zamieszczamy go bez żadnych zmian.

W domu w Cieszanowie przy ul. Mickiewicza, d. ulicy Dworskiej, który został spalony w 1944 roku wypiekało się opłatki systemem domowym, dla całej parafii cieszanowskiej. Wg. pozostawionych i uratowanych zapisków mego śp. ojca Jana Szajkowskiego w roku 1890 wzięto mąki pszennej w sklepie 68 kg. w cenie 10 f. 56 cnt. (waluta austriacka) i zaczęto piec opłatki 11 listopada, a zakończono 28 listopada. Pieczono w formie żelaznej na palenisku kuchennego blatu ustawionego z 4 odpowiednich kamieni, na ogniu otwartym, ze szczapek obrzynkowych z tartaku. Rozczyn ciasta z mąki pszennej musiał być w danym dniu wypieczony, stąd wypiek zaczynał wcześniej rano, a kończono późną nocą przez 3 osoby, żonę i dwie córki, czwarta osoba zatrudniona była przy obcinaniu brzegów każdego opłatka z wycieku brzegowego formy. Z jednej łyżki ciasta, był jeden opłatek. Ciasto podobne do naleśnikowego.

Białych opłatków wypieczono 160 kóp, z rutą w środku 7 kóp, zielonych 9 kóp, czerwonych 10 kóp, niebieskich 2 kopy. Do kolorowania ciasta na opłatki dekoracyjne używano analiny, kupowanej w sklepie po 20 centów każdego koloru. Z tych opłatków po ruskiej kolędzie pozostało jeszcze 4 kopy różnego rodzaju i koloru. Z tego wynika, że grekokatolicy używali opłatków na swoje Boże Narodzenie.

Opłatki po wypieku były odpowiednio przechowywane i obcinane po kilka na desce lipowej wg. odpowiedniej formy ze ściętymi rogami. Wiązane były paczki, dla dzieci również małe paczki, paskami papieru kolorowego do złotego i srebrnego włącznie, którego wyszło 36 arkuszy. Po okolicznych wsiach opłatki były rozwożone furmanką, a po mieście roznoszono do wigilijnego dnia włącznie.

Takie zapiski z lat 1906—1910 zawierają poszczególne zakupy mąki pszennej, drzewa na podpałkę i innych potrzebnych rzeczy do pieczenia opłatków. Część opłatków pozostawiano na potrzeby Kościoła.

Po roku 1928, po zmniejszeniu się rodziny przez śmierć żony Jana, zaprzestano pieczenia domowego i opłatki sprowadzane były z Wadowic.

Dochód za opłatki stanowił wynagrodzenie organisty.

Eugeniusz Szajkowski



Dawna pieśń kolędnicza z Dachnowa

*Dajcie jajko jedno — będzie się wam dobrze wiedło.
Dajcie dwa — bo tak trza.
Dajcie trzy — bo tak się patrzy.
Dajcie cztery — to nie powiem, że wy sknery.
Dajcie siedem — a będzie was chwalił niejeden.
Dajcie osiem — ja będę Boga prosił
żeby kogut jajka nosił.*

Z książki **Hej, leluja**
Franciszka Kotuli



KORESPONDENCJE

Pracuję nad monografią prasy regionalnej od początku do czasów obecnych, dlatego też zwracam się z uprzejmą prośbą o przysłanie na w/w adres, za zaliczeniem pocztowym pierwszego, drugiego i trzeciego numeru pisma Waszego regionu pt. „Kresowiak Galicyjski” — dla celów naukowo-badawczych i dokumentacyjnych. Proszę również o podanie wysokości nakładu oraz techniki kolportażu Waszego pisma.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Zofia Sokół

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
w Rzeszowie

* * *

Z przyjemnością czytam Wasze czasopismo i jestem niemal prenumeratorem każdego egzemplarza dla mego syna. Chciałbym, jeśli to się przyda, przyczynić się do wzbogacenia materiałów częściowo archiwalnych, do wykorzystania. Zgadzam się na ewentualne zmodyfikowanie treści, o ile okaże się stylistycznie źle ujęta.

W związku z tym załączam:

- 1) Wspomnienia o moim Ojcu Janie Szajkowskim, organiście w Cieszanowie,
- 2) Wspomnienie o dr Łucji Charewiczowej ze Strzeleckich z odsłonięcia tablicy pamiątkowej na obelisku w Cieszanowie, dnia 15. VI. 1986 r.
- 3) Opis ceremonii z 3. IX. 1989 odsłonięcia tablic pamiątkowych w kościele, nazwisk osób zamordowanych w czasie ostatniej wojny, ze znanych mi rodzin.
- 4) Opis poświęcenia Krzyża Katyńskiego w Cieszanowie 13. IV. 1990 r.

Nadmieniam, że posiadam dużo wierszy o różnej tematyce np. Jadwigi ze Strzeleckich Szajkowskiej, mojej bratowej.

Łączę wyrazy szacunku i wytrwałości w pracy

Eugeniusz Szajkowski

Dziękujemy za korespondencję. Jedną z nich zamieszczamy już w tym numerze Kresowiaka. Pozostałe materiały wykorzystane zostaną w przyszłości. Prosimy o dalsze.

Redakcja

ZIEMIA HORYNIECKA ZAPRASZA

Ziemia horyniecka posiada niepowtarzalne walory przyrodnicze i krajobrazowe. Geologicznie gmina leży na granicy dwóch osadów geologicznych, zapadliska przedkarpacciego oraz pasma wzniesień Roztocza. Ziemia ta bogata jest w dary przyrody, przepiękne lasy iglaste pełne grzybów, jagód i zwierząt. Okolice nie są skażone skutkami cywilizacji przemysłowej, część północno-wschodnia gminy jest w strefie „Chronionego Krajobrazu Roztoczańskiego Parku Narodowego”. W ziemi tej ukryte są bogactwa mineralne: wody siarczkowe, borowiny lecznicze. W okolicach

Brusno-Dziewięcierz-Werchrata ciągną się pokłady kamienia wapiennego szacowane na około 8 mln m³. Jest to doskonały materiał budowlany, charakteryzuje się stosunkowo dużą izolacyjnością cieplną, przy tym daje się obrabiać mechanicznie, może służyć do produkcji wapna nawozowego, węglanowego, jak również jako materiał do budowy dróg.

Krzyże przydrożne, kaplice, budynki z ciosów tego kamienia spotkać można wszędzie. Niektóre mają po 150 lat, a wyglądają jakby czas się ich nie imał.

W okolicach Dziewięcierza istnieją potężne pokłady piasku kwarcowego o dużej czystości i wysokiej jakości, odpowiedniego do produkcji elementów budowlanych i szkła.

Horyniec siedziba władz gminy, główny ośrodek życia społecznego i kulturalnego a jednocześnie uzdrowisko spełnia szczególną rolę. Musi godzić funkcje administracyjno-gospodarcze z walorami miejscowości uzdrowiskowej. Położony w kotlinie, otoczony lasami sosnowymi, posiada unikalny klimat i walory przyrodnicze. Spływające z wyżej położonych lasów powietrze jest czyste i „żywiczne”. Historia rozwoju uzdrowiska sięga czasów przed I wojny światowej. W pobliżu istniejącego zakładu przyrodoleczniczego istniała studnia, z której woda miała właściwości lecznicze. Białe-żółte osady na cembrowinach studni używano jako zasypkę na rany. Niewiasty wiedziały, że jeżeli „chlópu rwie” w kręgosłupie lub w stawach, to należy go wymoczyć w tej wodzie, oczywiście gorącej. Mówiono w miejscowej społeczności, że — „woda odbija się jajami”. Można by powiedzieć ustami, ale tak mówiono, chętnie też pito wodę z tej studni, poprawiała trawienie, a także gdy chłop wracał z karczmy, żeby nie skakać przez miotłę, także ochoczo raczył się nią. Neutralizowała odór gorzały, a przy okazji kaca.

Po I wojnie światowej miejscowy właściciel dworu Kartowski rozpoczął budowę zakładu przyrodoleczniczego. Główny odwiert wykonano w miejscu, gdzie obecnie wybudowana jest kotłownia zakładu przyrodoleczniczego. Po dowieczeniu się do dość płytko leżącej żyły wody siarczkowej, nastąpiła potężna erupcja wody tak przez otwór, jak i wokół niego. Przez kilka dni pracownicy workami z piaskiem zawalali gejzer, który tryskał na wysokość 15 m.

Uzdrowisko w okresie międzywojennym było dość sławnym kurortem, leczono tu głównie choroby reumatyczne, gościc w oparciu o wody siarczkowe i miejscowe borowiny pozyskiwane w okolicach Wólki Horynieckiej. Kuracjusze zjeżdżali na leczenie z byłego województwa lwowskiego a także i dalszych rejonów Polski. Takie to były początki sławy Horyńca jako kurortu.

Przez wieki ziemie te zamieszkiwały ludy pochodzenia polskiego i ukraińskiego. Narodowości te żyły w symbiozie, każda ze społeczności szanowała dni święta sąsiadów, korzyść była obopólna np. na Boże Narodzenie zapraszano sąsiadów obrządku grekokatolickiego i odwrotnie.

Druga wojna światowa i okres powojenny nie oszczędziły i ziemi horynieckiej. Wiele miejscowości zniknęło z krajobrazu, pozostały po nich resztki sadów, ruinowiska. Zwiedzając lasy spotyka się często w środku lasu ślady osad ludzkich, krzyże przydrożne, stare cmentarzyska itp. Takich miejscowości utraconych w pamięci starszego pokolenia jest wiele Kuczery, Bilecki, Sopot, Rudka, Chmieć, Monastyr itd. Wiele innych istnieje w szczątkowej formie np. Dziewięcierz przed wojną liczył ponad 400 numerów domów obecnie zaledwie 44, podobnie Radruż, Werchrata.

Obecnie Horyniec jest jedną z piękniejszych miejscowości woj. przemyskiego. Ma własną oczyszczalnię ścieków, sieć wodociągów, piękne dwa sanatoria „Metalowiec”, „Rolnik” — w rozbudowie, Gminny Ośrodek Kultury. W trakcie budowy nowy Zakład Przyrodoleczniczy, Ośrodek Zdrowia i inne obiekty.

Horyniec, kurort stosunkowo mało znany w Polsce zasługuje na większe rozpropagowanie jego zalet, zapraszamy, a przekonacie się Państwo, że warto.

M. Wiatr

SPORT

Wywiad z Tadeuszem Załuskim — sędzią piłkarskim przemyskiego OZPN

KG — Proszę się Czytelnikom bliżej przedstawić...

TZ — Pracuję na stacji PKP Lubaczów od 1972 roku. W chwili obecnej jako ekspedytor handlowy. Społecznie, oprócz sędziowania meczów piłkarskich, jestem z-cą Przewodniczącego Rejonowego Wydziału Gier i Dyscypliny w Lubaczowie, d/s kwalifikacji i obsady sędziowskiej.

KG — Kiedy powstał w Lubaczowie w/w Wydział i jakie są jego kompetencje?

TZ — RWG i D w Lubaczowie powstał 19.03.1988 roku. Prowadzimy i weryfikujemy rozgrywki w klasie „B” w naszym regionie, ustalamy obsadę sędziowską na mecze w tej klasie, przyjmujemy sprawozdania sędziowskie klasy „A” Grupy lubaczowskiej i przesyłamy je do OZPN w Przemyślu.

KG — Jakiej funkcji pełni Pan w OZPN Przemyśl i w jakiej klasie rozgrywkowej prowadzi mecze?

TZ — W OZPN Przemyśl pracuję od 1980 roku, gdzie obecnie pełnię funkcję Referenta Kwalifikacji Sędziów. Funkcję tą pełnię społecznie. Prowadzę spotkania piłkarskie w klasie „Regionalnej” Przemyśl-Krosno-Rzeszów.

KG — Czy ma Pan wpływ na ustalanie obsady sędziowskiej na poszczególne mecze?

TZ — Jeśli chodzi o klasę „B” to oczywiście mam ten wpływ z urzędu, sędziów na mecze klasy „A” ustala OZPN Przemyśl.

KG — Jeśli chodzi o to drugie stwierdzenie mam pewne wątpliwości. Jest dużo, może niepotrzebnych, pomówień i skarg klubów klasy „A”, o nastawianiu sędziów już przed meczem i stronnictwem „gwizdaniu”...

TZ — Nic o takich praktykach nie wiem, natomiast wiem, że dobry sędzia na takie układy nie pójdzie.

KG — Głośna przed sezonem była sprawa przejścia drużyny LZS „BŁYSKAWICY” Płazów z klasy „C” do „A”. Jak Pan to skomentuje?

TZ — Z tego co wiem ani Lubaczów, ani Przemyśl nie wyraziły na to wstępnie zgody. Jest słodką tajemnicą klubu z Płazowa jak to zostało załatwione. Ponoć drogi prowadzą do PZPN w Warszawie.

KG — Od kiedy Pan sędziuje mecze piłkarskie?

TZ — Uprawnienia sędziowskie otrzymałem w roku 1969.

KG — Czy zdarzyło się Panu przerwać mecz z powodu wybryków chuligańskich?

TZ — Tak. Było to podczas odbywania służby wojskowej, kiedy sędziowałem mecz derbowy Olimpia Elbląg — Ruch Elbląg, byłem zmuszony przerwać mecz i pod ochroną działaczy udać się do szatni.

KG — Jaki jest pański model sędziowania? Ile czerwonych kartek pokazał Pan zawodnikom?

TZ — Generalnie nie lubię na boisku chamstwa i brutalności. Lubie piłkarzy kulturalnych i spokojnych. Nie zawsze tak jednak jest, czego dowodem jest to, że pokazałem zawodnikom w swojej „karierze” około 40 czerwonych kartek.

KG — Jeśli już jesteśmy przy kulturze gry, co Pan sądzi o zachowaniu i grze najbardziej chyba kontrowersyjnego zawodnika klasy „A” J. Gielarowca, który „wslawił się” w ubiegłym sezonie na boisku w Baszni Dolnej, za co dzięki „pociągnięciom” pewnych działaczy, miał być dożywotnio zdyskwalifikowany?

TZ — Znam dobrze tego zawodnika. Jest bardzo zaangażowany w grze, ale w ferworze walki zapomina niekiedy o pewnych regułach, nie wytrzymują mu nerwy i kończy się na kartoniku. Za postępek w Baszni Dolnej chciano go ukarać zbyt surowo, ostatecznie skończyło się na karze pięciu meczów.

KG — Czy zdarzyła się w pańskiej karierze sytuacja, że jakiś działacz chciał z Panem „ustawić” mecz?

TZ — Nie. Takiej sytuacji nie pamiętam.

KG — Jak Pan znosi wyzwiska i nieprzyjemne okrzyki pseudo-kibiców?

TZ — Lubie prowadzić mecze przy dużej frekwencji, wtedy i okrzyki bardziej giną w tłumie. A tak naprawdę staram się ich nie słyszeć.

KG — Ile Pan otrzymuje diety za mecz?

TZ — W chwili obecnej jest to około 200 tysięcy złotych.

KG — Porozmawiajmy teraz o piłce lubaczowskiej. Dlaczego Pogoń do tej pory nie weszła do III ligi? Były przecież okresy, że miała drużynę na miarę tej klasy...

TZ — Moim zdaniem złożyły się na to dwie główne przyczyny. Brak dostatecznych środków finansowych i przejście najlepszych zawodników do innych klubów. Wspomnę o takich zawodnikach jak Amarowicz, który obecnie występuje w Resovii Rzeszów, czy Nepelski „sprzedany” do Avii Świdnik, aktualnie występujący w Hetmanie Zamość.

KG — Co Pan sądzi o dotychczasowej karierze najlepszego zawodnika Pogonii Lubaczów — Jacka Krzyszewskiego?

TZ — Moim zdaniem stać go było zdecydowanie na grę nawet w I lidze. Był już nawet na obozie kondycyjnym w Motorze Lublin. Woli być najlepszym w Pogonii.

KG — Potwierdzę pańskie zdanie. Pamiętam jak kilkanaście lat temu byłem na meczu o Puchar Polski z pewnym działaczem sportowym z Legii Warszawa. Pogoń wygrała wówczas po dogrywce z II ligową wtedy Wisłoką Dębica 6:3, a wszystkie bramki zdobył właśnie Pan Jacek. Ów działacz ze stolicy był pełen podziwu i chętnie widziałby go na treningach swego klubu.

TZ — Wymienię nazwiska kilku działaczy, którzy na dobre i złe związali się w różnych okresach z Pogonią; są to Arkadiusz Przybylski, Karol Szypulski, Stanisław Ważny, Marian Binkiewicz. Z występujących kiedyś zawodników wspomnę o Władysławie Dryblaku, Ginterze Koszera, Stanisławie Dutkiewicz, Szczepanie Sochan, Jacku Szczygłe, Janie Antoszu, Adamie Dobrowolskim. Pogoń walczyła już kiedyś o III ligę i była jej blisko. Było to w 1968 roku, w pamiętnym meczu z JKS Jarosław. Przegrała 1:3, prowadząc 1:0. Mówiło się wtedy, że niektórzy zawodnicy miejscowi „odpuścili” ten mecz. Ile w tym prawdy nikt już nie dojdzie.

KG — Jak Pan ocenia reorganizację rozgrywek na szczeblu wojewódzkim, szczególnie na naszym „powiatowym” podwórku?

TZ — Trzeba przyznać, że reorganizacja zdała egzamin. Lubaczowska klasa „A”, mimo dołączenia do niej większości drużyn z klasy „B”, prezentuje wyrównany poziom i chociaż prowadzą w tabeli faworyci, to straty punktowe pozostałych drużyn nie są zbyt duże.

KG — Jakiej drużynie Pan kibicuje?

TZ — Wszystkim dobrze grającym, ale szczególny sentyment mam do „ORKANA” Żaluzi i „POGONI” Lubaczów.

KG — Jak układa się Wasza współpraca z OZPN Przemyśl?

TZ — Nie narzekamy. W Przemyślu jest zarejestrowanych 21 sędziów, z tego 2 prowadzi mecze klasy „regionalnej”, 4 „okręgowej”, pozostali klasy „A” i „B”.

KG — Który z sędziów pokazał najwięcej czerwonych kartek w klasie „A”?

TZ — Zdecydowanie Pan Tadeusz Birczyński.

KG — Jak Pan spędza wolny czas po pracy?

TZ — Lubie długie spacerować z żoną.

KG — Czego życzyłby Pan sobie jako działacz sportowy?

TZ — Życzyłbym sobie, aby władze administracyjne wszystkich urzędów, dyrektorzy niewielu już w naszym regionie zakładów pracy, z życzliwością podchodzili d/s sportu. Od danych działaczy nam nie brakuje. Trzeba im tylko pomóc.

KG — Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiali: Ryszard K.
i Tadeusz K.

KRZYŻÓWKA ŚWIĄTECZNA

1	J	23	O	2	D	19	E	3	Ł	K	A	*	4	N	O	5	C	*	6	N	7	E	M	S	8	T	11	O	9	W	*	*	10	W	8
11	*	12	*	*	*	*	*	11	K	*	*	E	*	*	F	*	*	A	*	12	Y	E	T	i	2										
13	*	13	A	14	L	P	Y	16	*	O	*	*	15	N	O	R	W	E	G	*	16	G	E	N	*	*									
17	*	19	M	E	A	*	19	S	7	W	I	A	T	*	*	K	*	20	H	*	21	T	A	N	G	O	26								
22	*	22	N	O	V	E	L	A	*	*	*	23	K	A	W	T	*	24			Y	L	*	*											
25	D	R	A	K	A	*	26	A	D	27	R	E	S	*	*	*	30	*	*	31	K	A	C	*	*										
32	*	*	A	*	32	O	D	K	A	M	K	i	*	34	A	N	I	35	A	*	*	Z	15	*	*										
36	D	I	A	D	E	M	*	37	A	M	M	*	*	*	*	L	U	S	T	E	R	K	O												
38	E	*	*	i	*	A	*	*	41	P	A	*	*	*	*	D	*	42	O	K	A	*	*												
43	K	A	R	A	*	44	M	A	C	A	*	*	*	45	A	A	i	E	N	*	48	K	R	A	20										

Pozłomo: 1) Drzewo iglaste zdrobnie. 4) Niejedna zimowa, bardzo długa. 6) Wieś na trasie, Cieszanów—Ułazów. 12) Śnieżny człowiek. 13) Góry w Europie. 15) Sąsiad Szweda. 16) Najmniejszy odcinek chromosomu. 18) ... culpa (moja wina) — z łaciny. 19) Wesołych ... 21) Taniec towarzyski. 22) Opowiadanie proza. 23) Brzeg, krawędź. 24) Dawniej Flisak. 25) Zająście, awantura. 26) Niezbędny na kopercie. 31) Po przepiciu. 32) Np. skalne. 34) Zdrobnie Anna. 36) Ozdoba głowy kobiecej. 37) Stolica Jordanii. 38) Zwierciadełko. 41) Ssak himalajski. 42) Rzeka, lub na rosale. 43) Następstwo winy. 44) Cienkie placki. 45) Skala osadowa. 46) Niejedna wiosna na rzece.

Pionowo: 1) Ksiądz, założyciel teatru „Arka Lwowska” w Lubaczowie. 2) Rzeka w Indiach. 3) Wpada do jeziora Gardno. 5) Odrobina dolara. 6) Ssak morski — waleń. 7) Wynik, skutek. 8) Przepływa przez Portugalię. 9) Nowość, rewelacja. 10) Dyrektor Domu Kultury w Lubaczowie, choreograf „Resonii Saltans”. 11) W kuzni (liczba mnoga). 14) Imię żeńskie. 17) Moralista. 19) Trop. 20) Symbol pierwiastka holm. 27) Rodzaj szlabanu. 28) Rzadkie imię. 29) Pierwiastek o symbolu Sc. 30) Stępka. 32) Przywidenie, majak. 33) Pierwiastek o liczbie atomowej 49. 35) Marka samochodu. 39) Głębia, otchłań. 40) Znak Zodiaku.

Litery z prawych dolnych rogów czytane w kolejności od 1 do 26 utworzą rozwiązanie. Rozwiązanie prosimy nadsyłać na adres redakcji do 15 stycznia 1992. Wśród Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązanie, rozlosujemy cenną nagrodę rzeczową.

Autorem krzyżówki zamieszczonej w 4 numerze Kresowiaka Galicyjskiego i obecnej jest Jan Borysowicz.

Ogłoszenie

Myśl ekonomicznie!

Kupuj towary rodzimej produkcji!
Kupisz najtaniej w dużym wyborze —
perfumy, kremy, szampony, proszki
Lubaczów — Sklep „Perfumeria” Rynek 12

Rzeczy ciekawe, dziwne i zaskakujące

W Horyńcu w mieszkaniu przy ul. Armii Krajowej znaleziono zwłoki 45-letniego Władysława W. Przypuszczalną przyczyną zgonu było zutucie alkoholem.

...

Dużym powodzeniem szczególnie wśród Pań cieszą się sprzedawane przez Rosjan aparaciki odmierzające ludzkie kroki. Urządzenie wielkości pudełka zapalek (sprzedawane w cenie 30 tys. zł). Zawieszane w kieszeni marynarki, kurtki, rejestruje każdy zrobiony krok. Panie dyskretnie owe aparaciki lokują w ubraniach mężów a wieczorem na liczniku mają dokładne dane o ilości zrobionych przez nich kroków. Gdy jedna z nich zdumionemu mężowi oświadczyła jakiej długości trasę pieszo przeszedł, ten wrzasnął! Szpiegujesz mnie!

...

W Cieszanowie dotąd nie zidentyfikowany osobnik skradł ze sklepu monopolowego 300 butelek alkoholu. Podobno wszystkie butelki ze skradzionego asortymentu były w szczególny sposób oznakowane.

...

Oto treść ogłoszenia naklejonego na murze jednej z kamienic przy ul. Słowackiego w Lubaczowie: „Dziewczynę zgrabną zatrudnię do rożna”.

...

Swoisty rekord pobił złodziej kradnąc jednej nocy Antoniemu W. w Narolu 16 kaczek, 24 kury i 2 gęsi.

Powiedzieli:

W miasteczku są trzy piekarnie: prywatna, spółdzielcza i państwowa. Najlepsza jest ta która piecze bułki najtaniej. Oto mój socjalizm.

Lech Wałęsa

Obawiam się, że grozi nam wszystkim szukanie kozła ofiarnego. Ktoś musi zapłacić za tamte upokorzenia i cierpienia, ale także za nasze własne grzechy słabości i strachy. Szukaniem kozła ofiarnego najłatwiej zagłuszyć własne sumienie.

Adam Michnik

W porównaniu z tym co może się wydarzyć w ZSRR wojna domowa w Jugosławii to tylko żart.

Gorbaczow

Osiem miesięcy temu mogłem wydać rozkaz który natychmiast musiałoby wykonać 541 tys ludzi. Dzisiaj nie mogę nawet ściągnąć hydraulika.

emerytowany generał SCHWARZHOPF — dowódca wojsk amerykańskich walczących z Irakiem

Wolałbym dwa lata odsiedzieć, niż rok być ministrem.

Jacek Kuroń

W ciągu ostatnich kilkunastu lat było łatwiej. Wystarczyło przyłożyć czerwonemu i już się miało za sobą społeczeństwo.

Andrzej Szczypiorski

Najchętniej do zaciskania pasa wzywają nas ci, którzy spodnie noszą na szelkach.

Marian Jurczyk

Pornografia jest wtedy gdy dziewczyny rozbiera się bez powodu.

Gustaw Holoubek

Kresowiak Galicyjski

Adres redakcji: 37-611 Cieszanów ul. Leśna 9.

Redaguje zespół: Edward Dziadula, Ryszard Kaczka,

Marian Ważny — red. naczelny.

Korekta: Krystyna Serwatko.

Wydawca: Agencja Reklamowo Marketingowa spół. z o. o.

Wydawanie Kresowiaka Galicyjskiego finansuje Spółka „Kresowiak”.

Skład Miel s.c., Rzeszów, ul. Hetmańska 15.

Druk Punkt s.c., Rzeszów, ul. Boya-Zeleńskiego 23.